

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

WYPRAWA

PO SKARBY UKRYTE WSRÓD PUSZCZY.

Przygody podróżników w Australii.

(Dalszy ciąg).

Używano także, że narość w kształcie ruchomej ostrogi, którą samiec ma na tylnych nogach, zawiera w sobie jaj. Ale wszystko to są bajeczki. Naturalista angielski, nazwiskiem Bennet, umyślnie odbył podróż do, Australii, ażeby zbliżyć się zapoznać z kaczonosem, udało mu się zabić niejednego, a nawet schwycić kilka żywych, starszych i młodszych, hodował je starannie, a tym sposobem i obyczajem ich dostatecznie poznał. Przekonał się, że ostroga niema żadnego jadu w sobie, że samica wydaje małe nierozwinięte, tak prawie, jak workowate zwierzęta i mlekiem je karmi, wcale jednak nie znosi jaj. Kaczonos jest stworzeniem ziemnowodnym, ale nie może długo w wodzie pozostawać i potrzebuje się wydobywać na powierzchnię dla oddychania; żywi się różnymi wodnymi owadami i mięczakami. Bennet karmił

swoje kaczonosy chlebem rozmoczonym w wodzie, twardymi jajami i siekanym mięsem. Trzymał je zwykle w izbie, gdzie wcale nie zdawały się zbyt tęsknić za wodą, ale gdy je puszczał do wody, uwiązane na mocnym sznurku, pływały i zanurzały się z widoczną przyjemnością.

Kaczonos ma zwykle około dwudziestu cali długości, wraz z ogonem, który z pięć cali zajmuje.

Ogon ten jest płaski, szeroki i tak jak cała skóra porośnięty bardzo gęstą ciemną sierścią. Nogi ma krótkie, plektowate, jak zwykle u zwierząt ziemnowodnych, ale najdziwniej wygląda głowa, bez uszu, gdyż otwory słuchowe są ukryte w sierści i nie widać ich wcale, a paszczę zastępuje wielki płaski dziób, do kaczego podobny, od niego też pochodzi nazwa zwierzęcia.

Tom miał wielką ochotę przyrządzić potrawę z zabitego kaczonosa, ale zapach tranu, który niezbyt mile drażnił nasze powonienie

przy oglądaniu dziwnego stworzenia, nie był wcale zachęcający i oddaliśmy mięso na pastwę zgłodniałych psów, skórę zaś, jako wyłączną moją własność, zachowałem do wypchania.

Nazajutrz po tym noclegu zapuściliśmy się da-



Kura leśna australaska (str. 85).

lój w nieznaną puszcę. Coraz dziwniejszy był widok lasów, któreśmy przebywali. W tym nadzwyczajnym kraju główną cechą roślinności jest sztywność. Drzewa po lasach po większej części wyglądają, jakby jakieś miotły olbrzymie, gałęzie są skąpo okryte liśćmi odrębnego rodzaju, o czym wspominaliśmy już wyżej, a nawet mają zazwyczaj twarde łodygi. Tu naprzykład wyrasta szczególna roślina, przez kolonistów zwana *porcupice*, czyli jeżowiec, w języku naukowym *spini/æx*. Jeden korzeń wypuszcza niezmierne mnóstwo cienkich, twardych pręcików, sterczących tak zupełnie, jak kolce jeża, i nie mniej ostrych, jak nieraz przekonaliśmy się o tém, nieostrośnie ich dotykając; kolczaste akacje o wązkich liściach występują tu w licznych gatunkach, najsmętniej jednak wyglądają rzewnie, czyli kazuaryny. Australia jest właściwą ojczyzną tych drzew, spotykaliśmy je też wszędzie po drodze i muszę je tu opisać, chociaż nie odznaczają się wcale ani okazałością ani wdziękiem. Wyobraźcie sobie naszą wierzbę płaczącą, ale całkiem ogołoconą z liści, tak, jak gdyby ktoś w miejscu tych zielonych gałęzi, co się tak wdzięcznie zwieszają ku ziemi, jak rozpuszczone warkocze, pouczepiał na niej nagie, sztywne łodygi skrzypów. Brak im zupełnie liści, natomiast gałęzie ich są jakby rozczłonkowane na liczne części, wychodzące jedne z drugich, a każda taka część, nakszałt kolanka u trawy, otoczona jest pochewką przy nasadzie i tém także przypominając łodygi skrzypów. Kwiaty niepozorne są dwojakie, jedne, do kłosów podobne, wychodzą z ostatnich pochewek na końcach gałęzi, drugie, nakszałt małych szyszeczek, siedzą wkątach gałązek. Te ostatnie tylko wydają ziarna.

Wśród takiej roślinności krajowiec australski nie mógł sobie nigdy sporządzić łuka, bo nie znalazł nań stosownego materiału w tych sztywnych, twardych gałęziach, to też musiał się wyrzec broni tak powszechnie używanéj przez dzikie plemiona w innych częściach świata, a natomiast używa dzi-dy, maczugi, i sporządza sobie ów dziwny bumerang, o którym opowiadaliśmy w poprzednim rozdziale. Na Pampasach, łąkach amerykańskich, gdzie lasów niéma wcale, a tem samém i o drzewo nie łatwo, mieszkańcy musieli sobie znów wymyślić broń całkiem odrębną, owo sławne łąso, ze sznurów i ciężkich kul złożone. Przemyśl człowieka zawsze stosować się musi do otoczenia, do warunków, pośród których przebywa.

Kiedyniekiedy wśród rozległej płaszczyzny ukazywały się oczom naszym przestrzenie bujną, rozkoszną zielenią pokryte, upstrzone jaskrawymi kwiatami, coś nakszałt oazy na pustyni. Spozstrzegłem, że te zielone obszary ciągnęły się zwykłe jak smugi długie pośród piaszczystych, kamie-

nistych gruntów, a gdym tę uwagę głośno wyraził, wytłómaczyli mi sir Reed, że to łożyska rzek przez znaczną część roku tak wysychają i pokrywają się zielonością. Ziemia szlamem użyźniana wydaje bujną trawę i cudnie odbija od okolicznych gruntów piaszczystych i kamienistych.

Lasy prawdziwe coraz więcej się przerzedzają, w miarę, jak postępujemy wśród tej puszczy. Suche, sztywne, kolące krzaki, tworzą gęste zarosła, przez które z ostrożnością przedzierać się musimy. Trudno nawet powiedzieć, ażeby nas zieloność otaczała. Nędzna trawa, porastająca ziemię, ma odcień popielaty, liście drzew, wąskie, sztywne, dziwaczne, najrozmaitsze mają barwy, żółtawe, błękitnawe, szare. Piszę te słowa o południowej godzinie. Upał jest do niezniesienia, rozłożyliśmy namiot pod drzewem, które żadnego cienia nie daje; posililiśmy się mięsem wędzoném i herbatą. Sir Reed zapowiada, że za dwa lub trzy dni dostaniemy się do sławnej kamienistej pustyni, gdzie piaszczysty, nagi grunt, pokryty jest większymi i mniejszymi głazami, jakgdyby dziwna jakaś siła pogruchotała skały i odłamki rozsypała na wielkiej przestrzeni.

Czas upływa, nie możemy długo odpoczywać, musimy jechać dalej, nie zważając na skwar straszliwy. Najłżejszy wietrzyk nie odświeża powietrza, nie porusza liści na drzewach, oddech zatrzymuje się w piersiach, doznajemy takiego uczucia, jakgdybyśmy się znajdowali nad brzegami krateru. Widok drzew ogołoconych, które nam żadnej ulgi nie przynoszą, bo liście ich dziwaczne nie ochraniają od palących promieni słońca, stał się dla nas nieznośny. Trudno pojąć, jak te rośliny żyć mogą wśród takiej suszy; nigdzie tu nie słychać szmeru strumyka, nigdzie najmniejsze źródelko nie wytryska wśród spieklej pustyni. Nie zatrzymujemy się jednak i znowu przez trzy godziny jedziemy bez wytchnienia, nakoniec Sir Reed każe zatrzymać wozy, musimy wytchnąć,

O, co za radość! niedaleko od miejsca, gdzieśmy na odpoczynek stanęli, wznosi się drzewo niezbyt wyniosłe, ale niezmiernie rozgałęzione, a liście jego, które się prawie aż do ziemi zwieszają, mają kształt zwyczajny i przepyszny cień rzucają dokoła. Cóż to za rozkoszne ustronie! Nie wiele myśląc, wypuszczam w cwał mego wierzchowca i wskazując piękne drzewo towarzyszą, śpieszę w tę stronę, ciesząc się już zawczasu nadzieją przyjemnéj drzemki w cieniu tych gałęzi, bujném liściem pokrytych.

Ale cóż tam znów naszemu Tomowi przyszło do głowy? krzyczy w niebogłosy, daje nam jakieś dziwne znaki, nie możemy usłyszeć, co mówi, bo szkapa jego nie jest w stanie dogonić naszych ru-

maków, chociaż pocziwiec nie szczędzi jęj wcale, Czyżby nam miało grozić jakie niebezpieczeństwo? Niema co, zatrzymujemy się i czekamy wyjaśnienia tej zagadki. Major Herwey zna dobrze roztropność i przychyłność wiernego swojego sługi, upewnia nas, że ten niepokój musi mieć ważną przyczynę. Tom nadbiegł nareszcie, ale w pierwszej chwili takie przerażenie go opanowało, że słowa przemówić nie mógł. Potém zaczął coś bełkotać niezrozumiałym językiem, jeden major tylko zrozumiał, o co idzie i widocznie nie musi to być drobnostka, bo dzielny wojak słucha z wielką powagą i dziwnym wzrokiem spogląda na drzewo, które nas nęci piękną swoją powierzchownością.

— Majorze—odezwałem się z lekkim odcieniem niecierpliwości, której nie mogłem powstrzymać, — cóż to wszystko znaczy? Mamyż się wyrzec upragnionego odpoczynku w tém cieniستم ustroniu, dla jakichś niedorzecznych przywidzeń tego starego nudziarza?

— Mój panie — odrzekł major — i ja także radbym tej przyjemności użyć, ale radzi nie radzi wyrzec się jęj musimy. Uciekajmy ztąd co prędzej, straszne niebezpieczeństwo grozi nam w tém miejscu, które nas nęci pięknym widokiem.

— Niebezpieczeństwo? cóż to być może?

— Dziwna przyroda tej ziemi kryje w sobie mnóstwo tajemnic, które Tom jeden zna dokładnie. To drzewo tak cieniste, jest to olbrzymi krzew, zwany przez krajowców *wai-waiga*, a przez podróżników drzewem ptasiem.

— Ależ, kochany majorze, nie wiem nic zgoła co to jest wai-waiga, a nazwa ptasiego drzewa równie jest dla mnie niezrozumiała. Toż ptaki zwykle na każdym drzewie siadają.

— Nigdy wprawdzie niewidziałem na własne oczy tego roślinnego potworu — mówił dalej major — ale go znam dobrze z opisów. Wierzajcie mi, pocziwy Tom nie darmo jest taki przerażony. Pojmiesz pan to lepiej zapewne, gdy powiem, że naukowa nazwa tego krzewu jest *Urtica gigas*.

— Olbrzymia pokrzywa; prawda, nawet liście mają kształt zupełnie do naszej pokrzywy podobny. A więc dajmy na to, że to jest jakaś zjadliwa pokrzywa, nie idzie zatem....

— Taka pokrzywa może zabić na miejscu, mój panie.

— Zabić! ależ to niepodobna, przesadzasz, kochany majorze.

— Nie przesadzam wcale, drzewo to jest postrachem krajowców, którzy go się wystrzegają, jakby jakiegoś drapieżnego zwierza. Nadano mu nazwę ptasiego drzewa, gdyż ptak, dotknąwszy liści tej straszliwej pokrzywy, pada na miejscu, jakby piorunem rażony.

— Jakto, więc to nie żarty?

— Czy ja wyglądam na to, żebym miał żartować? a zresztą, poco tu zapewnienia, spojrzysz pan na murawę, co tam trupów; pod cieniem tego drzewa, które cię wabi swym urokiem, bieleją wszędzie kosteczki nieroztropnych ptasząt. Wszak słyszałeś pan o drętwach, tych rybaczach elektrycznych, które taką posiadają siłę, że konia powalają w rzece uderzeniem ogona. Ta olbrzymia pokrzywa jest drętwą roślinną.

Ja tymczasem zbliżyłem się z wielką ostrożnością do osobliwego drzewa, i przyglądałem mu się z ciekawością zapalonego przyrodnika, chociaż teraz nie miałem już najmniejszej ochoty wypoczywać w jego cieniu. Wtém usłyszałem szelest poza sobą:

— Jak też można wierzyć w takie baśnie — mówił Cyryl, który słyszał naszą rozmowę — Czyż podobna, żeby mężczyźni bali się jakiegoś nędznego chwastu. Pokrzywa nie pokrzywa, ja tam się nie lękam niczego i wyśpię się porządnie pod tém młym drzewkiem, ręczę, że mię nie ukąsi.

— Zlituj się, Cyrylu—zawołałem—nie narażaj się, mógłbyś tego pożałować.

— Oho! nie tak to łatwo mnie w pole wyprowadzić. Wolno panu wierzyć temu staremu kominiarzowi, ale ja tu zaraz wszystkim pokażę....

Mówiąc to chwycił całą garścią pęk liści, zwieszających się z niskiej gałęzi, a w temże samém mgnieniu oka jęknął głucho i jak kłoda padł na ziemię. Krzyk rozpaczny wyrwał się z mojej piersi, sądziłem, że wierny mój Cyryl śmiercią przypłacił swoje zuchwalstwo. Ale Tom nie stracił głowy. Najpierw wszystkim kazał się oddalić, potém z pomocą moją przeniósł biednego Cyryla na pobliską murawę i z największą ostrożnością wyciągnął mu z dłoni konwulsyjnie zaciśniętą zabójczy liść i odrzucił go, jak mógł najdalej. Rozebraliśmy szybko Cyryla, który nie dawał żadnego znaku życia. Trudno było pojąć, co mogło tak gwałtownie powalić z nóg tego olbrzyma; na ciele jego nie dostrześliśmy żadnych śladów uszkodzenia. Uderzył mię jeden tylko niezwykle symptomat, straszna bladeść rozlana na jego twarzy. Ręka, którą dotknął był zabójczego ziela, była obrzękła, jakby zparaliżowna, i coraz widoczniej występowało na niej straszne zapalenie.

Opatrzyłem starannie biedaka i przekonałem się, że serce bić nie przestało, a puls, chociaż słaby, dawał się jednak odszukać. Zacząłem go rozcierać z całych sił, bez najmniejszego skutku, już mi nadzieja opuszczała, a Tom tymczasem znikł mi z oczu; poskoczył był do lasu i nie powracał, ja traciłem głowę i nie wiedziałem co robić dalej; wszyscy towarzysze nasi oddalili się z rozkazu To-

ma, pot występował mi na czoło, czułem, że mi sił braknie, co tu począć, wielki Boże!

Nareszcie głos Toma dał się słyszeć, biegł on szybko z poblizkiego lasu, niosąc w rękę wielki pęk jakiegoś ziela, a biegnąc, obrywał z niego liście, wkładał w usta i żuł z pośpiechem. Zbliżywszy się, wyjął z ust pogryzione listki i zaczął niemi okładać ciało Cyryla, rozcierając je przytém i mnie dawał znakami do zrozumienia, abym mu dopomagał. Sok zielony spływał obficie dokoła, ja także z podwojoną gorliwością rozcierałem mego biednego przyjaciela tą dziwną maścią i z niewypowiedzianą radością spostrzegłem, że pierś jego zaczęła się lekko poruszać, oddech powracał powoli. Odetchnąłem także głęboko, potem chwyciłem parę listków tej cudownej, uzdrawiającej rośliny i do ust je poniosłem. Krzyknąłem mimowoli, zdało mi się, że rozgryzam torebkę tureckiego pieprzu, jak ogniem mnie paliło w język i podniebienie. Nie dziw, że taki synapizm przebudził nawpół martwego Cyryla. Na szczęście miałem na sobie manierkę z wódką, popłukałem usta i wypłułem starannie resztki szczypiącego zielska.

Chory tymczasem otworzył pomaleńku jedno oko, potem drugie, i zaczął się z lekka poruszać. Lekarz nasz, chcąc zapewne przyspieszyć wyzdrowienie, rozgniół pomiędzy dwoma kamykami wielki pęk ziela i przyłożył mu szeroki okład pod pierśiami, następnie odszedł o parę kroków, usiadł na ziemi, podkładając nogi pod siebie z poważną miną indyjskiego fakira i poprosił mnie o papierosa; Tom niezmiernie lubił moje papierosy.

— Cóż teraz powiesz, stary przyjacielu — czy będzie co z niego?

— Będzie dobrze, tylko nacierać.

— Gotów jestem nacierać jeszcze, byle biedaka odratować.

— Teraz już nie trzeba; czekać.

— A więc czekać, skoro tak radzisz, stary.

Poszedłem uspokoić resztę naszego towarzysstwa, a gdy powróciłem po kwadransie, nasz paralytyk wrzeszczał, jak szalony i usiłował zrzucić z siebie wezykatotoryę, która go paliła, jak węgle rozżarzone. Cała twarz jego była teraz zarumieniona, jak burak, nareszcie podniósł się, usiadł na trawie i zdziwionemi oczyma spoglądał dokoła.

— Teraz zjeść trochę tego — rzekł Tom, przystępując i podając mu szczyptę cudownego ziela.

— Nie wzbraniaj się, Cyrylu — dodałem ze swojej strony — rozgryź trochę tego ziela, ono cię przywróciło do życia.

— Dobrze, dobrze, ale gdzie moje ubranie?

— Później pomyślisz o stroju — rzekłem — dokończ wprzód kuracyi i słuchaj we wszystkiem poczciwego Toma.

Cyryl zaczął gryść w najlepsze swoje lekarstwo, dopomogliśmy mu ubrać się i podnieść, a chociaż chwiały się trochę na nogach, mógł jednak przejść powoli aż do obozu, wsparty na mojem ramieniu.

— Jakże się teraz czujesz? — zapytałem.

— Zupełnie dobrze, tylko nogi mi czegoś zmiękły; ale co to za ziele ten stary mi dał do gryzienia? takie to kwaśne, aż pali.

Przypatrzyłem się bliżej roślinie i poznałem w niej gatunek szczawiku, *Oxalis*. Ostry kwas, drażniący skórę przy nacieraniu, jest najskuteczniejszym środkiem na oparzenie obrzymieję pokrzywy. W pół godziny Cyryl przyszedł zupełnie do siebie, a dowiedziawszy się, że stary Tom ratował go tak gorliwie i umiejętnie, najpierw uniesiony wdzięcznością wyciągnął ramiona i uściśnął go, jak równego sobie, potem nie wiele myśląc wy dobył z kieszeni duży srebrny zegarek, w kształcie staroświeckiej cebuli, na który Australczyk nieraz spoglądał z zachwytem i zawiesił mu go na szyi. Poczciwy Tom nie posiadał się z radości; nigdy zapewne we śnie nawet o takim skarbie nie zamarzył.

Wypocząwszy nieco, puściliśmy się w dalszą drogę, tymczasem i słońce się zniżyło, i powietrze odświeżyło się nieco. Cyryl, pomimo osłabienia, nie chciał za nic jechać na wozie i towarzyszył nam na koniu. Przebywaliśmy teraz ciągle piaszczyste, kamieniste grunta, lasy składały się prawie wyłącznie z niskich krzaków, po większej części bardzo pięknymi kwiatami okrytych. Miss Marya zrywała je, siedząc na wozie i z pomocą Kelly układała przepyszne bukiety. Tom, który na wszystko zwraca uwagę, a bystrym swoim wzrokiem rzuca na wszystkie strony, odezwał się z uśmiechem zadowolenia:

— Będzie świeże pieczyste — i milczkiem zsiadł z konia, biorąc strzelbę na plecy.

— Gdzieżeś ty je upatrzył, to pieczyste? — zapytałem. — Australczyk nic nie odpowiedział, tylko wskazał mi kilka kopców, sterczących pomiędzy krzakami w niewielkiem oddaleniu. Domyśliłem się odrazu, że to były gniazda osobliwych ptaków australskich, które koloniści nazywają kurami leśnemi, nazwa ich naukowa jest *Megapodius tumulus*. Są one w rzeczy samej blisko spokrewnione z kurami, należą do rzędu grzebiących, a odznaczają się szczególniejszym dowcipem w budowaniu swoich gniazd. Na wiosnę, około Września i Października, gdy zbliża się pora deszczów, w Australii, jak wiadomo, pory roku przypadają naodwrot, zbierają się samice, zaczynają wspólnemi siłami zgartywać liście, i usypują z nich kopiec wysoki, w którym wszystkie potem zagrze-

bujać wspólnie swoje jaja, nie zadając sobie wcale pracy wysiadywania ich tak, jak inne ptaki. Wiedzą one instynktem wrodzonym, że te liście zwilżone deszczem zaczynają gnić, a ztąd wywiązują się w nich ciepło dostateczne do wyklucia piskląt. Obyczaje kur leśnych australskich nie są jeszcze dokładnie znane, niektórzy naturaliści utrzymują, że rodzice czuwają nad swojemi małemi, przykrywają i odgrzebują jaja w miarę potrzeby, póki się nie wyklują ze skorupy i później przez czas jakiś się niemi opiekują, inni zaś zaprzeczają zupełnie tej rodzicielskiej troskliwości. To pewna, że małe kurki wychodzą z jajka zupełnie rozwinięte i opierzone, mogą więc bez żadnej pomocy szukać jedzenia i nawet podlatywać na gałęzie. Zwykle jednak przez kilkanaście dni jeszcze na noc powracają do gniazda i ukrywają się w miękkim posłaniu z przegniłych liści, gdzie im ciepło i wygodnie. Gniazda te służą przemyślnym ptakom na lat kilka, poprawiają je tylko co rok po trochu. Tom żałował niezmiernie, że w obecnej porze kopce były opuszczone, bo jaja kur leśnych są ulubionym przysmakiem Australczyków, a w każdym gnieździe można ich znaleźć ogromną obfitość.

Mieliśmy jednak nadzieję natrafić w pobliżu na kury, których mięso wysoko jest cenione przez Europejczyków. Skradaliśmy się ostrożnie wśród zarośli, coraz więcej kopców napotykalismy po drodze i wkrótce ujrzelismy gromadkę pięknych ptaków, które przechadzały się poważnie i wcale nie uległy się naszego widoku. Może pierwszy raz w życiu widziały ludzi i nie przeczuwały jakie niebezpieczeństwo im groziło. Kury leśne australskie mało co większe są od naszych kur domowych i postacią zbliżają się do nich; pióra mają orzechowe, czerwone na głowie i podgardlu. Oba z Tomem mieliśmy strzelby nabite grubym śrótem, dwa strzały odbiły się przeciągłym cichem wśród gęstwiny leśnej, gromadka ptaków zatrzepotała skrzydłami i umknęła z głośnym wrzaskiem, ale pole bitwy zasłane było trupami. Mirador, wypuszczony ze smyczy, nadbiegł pędem i pozbierał upolowaną zwierzynę. Zaświadczam niniejszém, że piecyste z kur leśnych australskich nie ustępuje najwyborniejszym bażantom.

VII.

Pustynią kamienistą. — Burza zwrotnikowa. — Wąwóz bez wyjścia. — Wsadzenie skały. — Źródło zatrute. — Trucizna i leki. — Napad nocny. — Porwanie. — Straszna trwoga.

Nagle, niespodzianie, krajobraz całkowicie się zmienia, jeszcze widzimy poza sobą ostatnie drzewa i krzaki, a już przed nami rozciąga się nie-

zmierzona pustynia kamienista. Tu już niema śladu żadnej roślinności, grunt zeschnięty, piaszczysty, zasiany jest głazami najrozmaitszej wielkości i kształtu. Są tam i drobne kamyki, toczące się pod stopami koni, i wielkie odłamy skał, które wozny nasze starannie wyniwać muszą. Trudna to i męcząca podróż. Kilku ludzi musi postępować przed pierwszymi zaprzęgiem, odgartywać kamyki i jakkolwiek torować drogę. Konie postępują noga za nogą. Białość piasku pod palącemi promieniami słońca olśniewa takim blaskiem, jak śniegi północy. Oddawna byliśmy przygotowani do tego widoku, a jednak to dziwne zjawisko przyrody, ta rozległa kamienista puszcza, wprawia nas wszystkich w nieopisane zdumienie. Głazy ogromne i drobne kamyki leżą na ziemi tak zupełnie, jak gdyby je psotna jakaś ręka rozsypała. Niepodobna przypuszczać, aby je wybuch wulkaniczny miał wyrzucić z głębi ziemi, nie mogły także spaść z nieba. Według wszelkiego prawdopodobieństwa są to odłamki skał, naniesione tu przez lodowce w jakichś czasach nie zmiernie dawnych. Wszakże i w naszej Europie niegdyś, w zamierzchłej starożytności, jak powiadają uczeni, wielkie góry lodowe przesuwaly się zwolna po spadzistościach gruntu, w takich miejscach, gdzie teraz pozostały już tylko ślady ich przejścia, głazy i kamyki, które na barkach swoich dźwigały. Zkąd pochodziła ta niesłychana masa lodu w krajach, gdzie panuje obecnie łagodny, umiarkowany klimat, tego nauka wyjaśnić nie umie. Wiadomo tylko, że Europa miała swój okres lodowy, a strefy umiarkowane wyglądały wówczas tak, jak podbiegunowe krainy. Czemużby i Australia nie mogła mieć niegdyś podobnego lodowego okresu?

Według sprawozdań towarzystwa geograficznego angielskiego, australska pustynia kamienista rozciąga się na przestrzeni najmniej pięćdziesięciu kilometrów wzdłuż i wszerz. Ale obliczenie to nie jest ściśle, żaden podróżnik nie zwiedził jeszcze dokładnie tej okolicy, ci nawet, którzy ją szczęśliwie przebyli, nie mieli z sobą narzędzi potrzebnych do oznaczenia długości drogi. Może nam lepiej się uda to przedsięwzięcie, a ci, którzy tu później podróżować będą, skorzystają z naszego doświadczenia.

W każdym razie przebycie tej puszczy zajmie nam dni kilka. Jesteśmy dobrze zaopatrzeni na drogę, beczki z wodą napełniliśmy starannie dnia wczorajszego, jak tylko dwaj jeźdźcy, wysłani na przód na zwiady, dali znać o bliskości kamienistej pustyni. Każdy z naszych wierzchowców niesie na grzbiecie wielki snop trawy, ściętej na ostatniej łące. Idziemy po większej części pieszo, prowadząc konie w rękę. Najtrudniejsza sprawa z wo-

zami. Czasem wielkie głązy tak zawała drogę, że niepodobna ich wyminąć. Wtenczas służba sir Reeda dobywa z wozu wielkie drągi żelazne, kilku ludzi podwaja wspólnymi siłami ruchomą skałę i odpycha ją na bok. Nie zawsze jednak ten sposób się udaje; wówczas chwytają głąz olbrzymi ogromnemi żelaznemi cęgami, do których zaprzęgają kilka par koni. Poczciwe zwierzęta ciągną z całej siły, skała porusza się z miejsca i pozostawia za sobą jamę głęboką, którą znów zasypać trzeba piaskiem i drobniejszemi kamieniami, ażeby wóz przeprowadzić. Posuwamy się dalej, ale o kilka kroków nowe napotykamy przeszkody.

(D. c. n.).

MODLITWA O DOBRĄ WOLĘ

przez **Zygmunta Krasieńskiego**.

Z prostotą dzieciąt, w niewieścięj pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże!
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twém królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!
Błagamy Ciebie z wrytém w ziemię czołem,
Czasów przyśniętych otoczeni kołem,
Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypłen kąkole
Żłud świętokradzkich. — I daj wiekuiste
Śród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę.
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie! świętymi czynami,
Śród sądu Twego wskrzesić samych siebie.

SMOŁA I FARBY

POGADANKA NAUKOWA.

— Doprawdy, nie wiem sama, która z tych wszystkich próbek najchętniej mi się podoba — mówiła czternastoletnia Józia, rozkładając na stole kilkanaście małych kawałeczków wełnianych materyj, w kratki, w paski i różne centki. Matka pozwoliła jej wybrać na sukienkę to, co jej się najchętniej podoba, a jej się wszystko podobało i sama nie wiedziała, co wybrać.

— I te kratki czarne z purpurowym bardzo ładnie wyglądają, i te paseczki szafirowe ze złocistą nitką, i ten desenik, ciągnący się z różnych

kolorowych kwiateczków; Władziu, poradź ty mi, proszę ciebie — mówiła dziewczynka do brata, który siedział w tym samym pokoju, pilnie czytany w jakąś książkę. Władzio, brat naszej Józii, był od niej daleko starszy, już od lat trzech uczęszczał na uniwersytet, ale niezmiernie był dobry i uprzejmy dla siostrzyczki, nigdy jej swoją wyśzością nie imponował i często z nią poufale rozmawiał. I teraz więc, chociaż mu przeszkodziła w czytaniu, zamiast oburknać ją, jak może niejedno młodzieniec uczyniłby na jego miejscu, Władzio odłożył książkę i zbliżył się do stolika, na którym były porozkładane próbki materyj.

— No i cóż, Władziu, która najładniejsza? — pytała Józia.

— Zdaje mi się, siostrzyczko — rzekł starszy brat z uśmiechem — że masz zupełną słuszość, trudno tu jedno wybrać, bo wszystko jest bardzo ładne. Zresztą ja się nie bardzo znam na tém; to jest na materyach i na kolorach znam się dobrze, bo właśnie teraz uczę się chemii, tylko nie potrafiłbym powiedzieć, co będzie najstosowniejsze na sukienkę dla ciebie. Ale poczekaj, pomyślimy; ponieważ jesteś blondynka, radziłbym ci wybrać coś szafirowego, lub niebieskiego.

— Dobrze mówisz, mój Władziu; oho! ty się znasz na wszystkiém, mój panie chemiku. Ale, ale, cóż tam znowu twoja chemia ma do tych ślicznych kolorowych materyj? dla czegoż ty powiedziałeś przed chwilą, że się znasz na nich, bo uczysz się chemii?

— Ba! nie zrozumiesz tego, siostrzyczko; a przecież to chemicy przyrządzają te piękne, jaskrawe farby, któremi te wszystkie tkaniny są zabarwione. Mój Boże — dodał młody student, jakby sam do siebie — któżby to uwierzył, patrząc na te cudne barwy, różowe, purpurowe, fioletowe, zielone, złociste, że wszystko to się wydobywa ze smoły. Nauka jest piękną rzeczą, naprawdę.

— Co też ty mówisz, Władziu — zawołała Józia zdziwiona — czy jest na świecie smoła czerwona, zielona i złocista?

— Tego przecież nie powiedziałem; właśnie cała mądrość chemika polega na tém, że czarną, brzydką, cuchnącą smołę, zamienia na takie przepyszne barwniki.

— Jakto, więc ty nie żartujesz ze mnie, bracie? Ależ to dziwniejsze jeszcze od tego smażenia złota, nad którym sobie Böttger łamał głowę w Königssteinie, jak to czytałam niedawno w Wieczorach Rodzinnych. I ty umiesz taką sztukę zrobić, Władziu?

— Teraz to już nie wielka sztuka i każdy jej dokazać potrafi, gdy już raz uczeni ludzie wynaleźli na to sposoby.

— I ty wiesz, jakie to sposoby?

— Czemużbym nie miał wiedzieć; wszak mówiłem ci, że się uczę chemii.

— Ależ to śliczna rzecz ta chemia, mój Władziu, i ja także chciałabym się tego uczyć. Ale ty mi opowiesz, jak to się robi, nieprawdaż?

— Ej, daj pokój, czyżbyś ty zrozumiała takie rzeczy?

— Ach, wam się zdaje, że dziewczęta to już nic mądrego zrozumieć nawet nie potrafią — rzekła Józia wzruszając ramionami. — Czyż myślisz, że i mnie także pan profesor Ślósarski nie tłumaczy na lekcyi różnych chemicznych rzeczy, a ja to wszystko doskonale rozumiem. Ale o tych farbach jeszcze nas nie uczyli, a ja taka jestem okropnie ciekawa...

— No, no, poczekaj, siostrzyczko — rzekł dobry Władzio, któremu już żal się zrobiło, że odrazu jęj nie dogodził — jeżeli już chcesz koniecznie, to spróbuję ci to choć troszeczkę wytłómaczyć. Czy ty wiesz, z czego się robi gaz do oświetlania, ten, co się po ulicach pali?

— O, czemużbym znów tego wiedzieć nie miała. Gaz wyrabia się z węgla; już jakim sposobem, tego ci nie powiem, ale mniejsza o to, wiem, że tam w fabrykach jakoś ten węgiel smażą i przesmażają, aż póki się z niego gaz nie wydzieli i nie ujdzie w rury.

— Otóż widzisz, gdy ten gaz odejdzie z węgla, pozostają różne resztki, węgiel zbity, zwany koksem, dobry na paliwo i gęsta, czarna smoła, która nie wygląda z pozoru na coś szacownego, a jednak ukrywa w sobie mnóstwo rozmaitych skarbów, trzeba tylko umieć je wydobyć. Od tego właśnie są chemicy. Smoła ogrzewa się w przyrządach starannie zabezpieczonych od przystępu powietrza, aż póki nie zacznie się z niej wydzielać para; to się nazywa destylacją. Musisz wiedzieć przecież, że nie tylko woda, ale wszystkie ciała parują w skutek ogrzania.

— Wiem, wiem; tobie się zawsze zdaje, mój Władziu, że ja jestem małe dziecko. Uczyłam się tego przecież i wiem, że nawet metale, takie jak złoto i żelazo, mogą parować, tylko potrzebują na to daleko silniejszego gorąca, aniżeli woda. Ale taka smoła, co to nie jest przecież twarda, jak metal, pewnie i na zwyczajnym ogniu paruje.

— Najpierw trzeba o tém wiedzieć, siostrzyczko, że smoła zawiera w sobie mnóstwo rozmaitych ciał, a para, która się z niej wydziela, nie jest już wcale smołą. Gdy woda lub metal zamienia się w parę, w tych drobnych cząsteczkach, ulatujących w powietrze, zawsze jest też sama woda, ten sam metal i po oziębieniu ciała te powracają do dawnego stanu. Nic się w nich nie zmienia, tylko postać ze-

wnętrzną. Ale, jak sama powiedziałeś, metal wielkiego gorąca potrzebuje, aby się roztopił, większego jeszcze, ażeby się w parę zamienił. Tymczasem różne substancje, zawierające się w smole z węgla, nie parują wszystkie przy jednakowym stopniu ciepła. Jedne nie potrzebują do tego większego ciepła, niż woda, inne muszą być daleko silniej rozgrzane, aby się w parę zamienić mogły, więc ogrzewając parę stopniowo, coraz mocniej, wydzielić z niej można kolejno rozmaite jęj składowe części, rozłożyć smołę na liczne substancje, z których każda ma całkiem odmienne własności. I tak: przy cieple bardzo umiarkowanem, przy którym nawet woda jeszczeby się nie zagotowała, zaczyna się ze smoły wydzielać para benzyny. Przyrząd jest tak zbudowany, że para ta nie ulatuje w powietrze, ale się gromadzi w naczyniu osobnem, a gdy wystygnie, zlewa się w krople i zamienia w ciecz białą i przezroczystą.

— Mój Władziu, czy to też sama benzyna, co się do wywabiania plam używa? ależ ona wcale do smoły niepodobna.

— Taż sama; o, ze smoły wydziela się mnóstwo innych rzeczy wcale do niej niepodobnych. Ale jeżeli masz do czynienia z benzyną, to musiałeś zauważyć, jak ta ciecz łatwo się ulatnia, nawet bez żadnego rozgrzania, jak starannie butelkę zatykać potrzeba, aby wszystka nie wyparowała, nie zadziwisz się więc, że i przy destylacji smoły benzyna najłatwiej paruje i najwcześniej się wydziela. Przy silniejszém ogrzaniu, wydzielają się ze smoły różne ciecze, jedne rzadkie i przezroczyste, inne gęste, jak olej, lub tłuszcz, a następnie można z nich oddzielić jeszcze inne ciała, które po ostygnięciu zamieniają się w twarde bryłki. Wszystkich tych ciał, otrzymanych ze smoły, naliczono dotąd czterdzieści trzy. Wszystkie jednak, chociaż własnościami i powierzchnością bardzo się pomie-dzy sobą różnią, składają się z nielicznych i jednakowych pierwiastków. Ale tego już pewnie nie zrozumiesz, siostrzyczko.

— Mój Boże, czemużbym tego wiedzieć nie miała; tyle razy się o tém czytało w *Wieczorach Rodziny*, a i na lekcyi to p. Ślósarski tłumaczył. Pierwiastek jest to takie ciało, co się nie może rozłożyć na dwa ciała odrębne; metale na przykład są pierwiastkami, ale woda nie, bo ona się składa z dwóch gazów, z tlenu i wodoru, można też wodę rozdzielić na te składowe części, a wtenczas przestanie być cieczą i uleą z niej dwa odmienne gazy, tlen i wodor. Oho, ja to wszystko wiem dobrze, uczony mój braciszek nie ma znów takię niemądrej siostrzyczki, jak mu się zdaje. W powietrzu także są różne gazy, ale nie tak ściśle połączone, jak w wodzie, tylko swobodnie sobie latają.

— Ależ to wybornie, siostrzyczko; teraz widzę, że daleko łatwiej mnie zrozumiesz, niż mi się zdawało. Otóż widzisz, większa część tych licznych substancji, które przez destylację oddzielają się ze smoły, poczynając od benzyny, nosi w nauce nazwę węglowodorów, dla tego, że i benzyna i inne składają się z dwóch tylko pierwiastków, z węgla i z wodoru.

— Ciekawa rzecz jednak, mój Władziu, dla czego różne substancje niepodobne są do siebie, skoro wszystkie mają w sobie ten sam węgiel i ten sam wodor?

— Dobrze to bardzo, siostrzyczko, że się zastanawiasz; widzę, że z ciebie będzie kiedyś naprawdę uczona osóbką. Nie jest to wprawdzie rzecz bardzo łatwa do zrozumienia, ale jeżeli ci to wytłumaczyć potrafię, to już potem będziesz mogła zrozumieć, jakim sposobem można zrobić z tych smołowych wytworów tyle farb najpiękniejszych. Wyobraź sobie, że masz mnóstwo drobnuteńkich paciorków rozmaitych kolorów. Gdybyś z nich układała deseniki, mogłabyś wymyślić najrozmaitsze esy, floresy, arabeski, a każdy wyglądałby inaczej, stosownie do tego ile paciorkówbyś do tego wzięła i w jakimbyś je ułożyła porządku. Ale gdybyś wyjęła jeden lub parę paciorków, zarazby się twój desenik popsuł. Możliwyby jednak na to poradzić, włożyć na miejsce wyjętego paciorka inny, na przykład czerwony na miejsce czarnego, lub żółty na miejsce białego, zaraz też desenikby się odmienił, wyglądałby inaczej. Otóż wyobraź sobie, że ta benzyna i inne węglowodory, które przez destylację otrzymują się ze smoły węglowej, złożone są z drobnuteńkich cząsteczek, jakby pyłeczków niedojrzanych i każdy z tych pyłeczków mieści w sobie kilka drobniejszych jeszcze pyłeczków, a jak je uczeni nazywają drobinek, lub atomów, wodoru i węgla. Domyślają się nawet, że te atomy są tam ułożone w jakiś desenik, zupełnie tak samo, jak twoje pacioreczki.

— A czy to wszystko można zobaczyć przez szkła powiększające, mój Władziu?

— O, nie, takich pyłeczków nikt dojrzyć nie może przez najdoskonalsze szkła, to są tylko przypuszczenia. Nie możemy więc powiedzieć z pewnością, że tak jest, ale że się wszystko odbywa, jak gdyby tak było. Musisz jeszcze i o tym wiedzieć, że nie wszystkie wytwory smołowe są czystymi węglowodorami, niektóre mają w sobie oprócz węgla i wodoru atomy gazów, zwanych azotem i tlenem.

— Wiem, wiem, co to tlen i azot; to z tych gazów składa się powietrze, tylko że azot jest zupełnie niepotrzebny, bo do oddychania służy tylko tlen; ten tlen i palenie podtrzymuje.

— Bardzo dobrze. Nie mów jednak, że azot jest niepotrzebny; prawda, że nie podtrzymuje oddychania i palenia, ale służy do wielu innych użytków, zwłaszcza w połączeniu z innymi ciałami. Jeszcze chwilkę cierpliwości, siostrzyczko, już nieza długo dojdziemy do farb. Dotąd mówiliśmy tylko o benzynie, wiemy jednak, że można otrzymać ze smoły czterdzieści trzy substancje rozmaite; jedna z nich nazywa się aniliną i ma w sobie węgiel, wodor i azot. Otóż to z tej aniliny najwięcej przepysznych farb wyrabiają; ona jednak nie ma wcale pięknej barwy, jest przezroczystą. Ale jeśli jej odejmiemy część wodoru, pozostałe atomy jakoś inaczej zapewne się ułożą, w odmienny desenik i anilina przemienia się w przesliczną, jasno czerwoną rozanilinę, inaczej zwaną fuksyną.

— Ciekawa rzecz, jak to można wyciągnąć ten wodor z jakiegóż substancji? — zapytała Józia.

— A to dopiero ciekawsza z mojej siostrzyczki. Cóż mam robić, muszę ci nawet i o tym dać wyobrażenie. Anilina ogrzewa się razem z inną substancją, która ma w sobie tlen i wtenczas wodor wyskakuje z pierwszej, a tlen z drugiej, chwytają się z sobą, powstaje ztąd trochę wody, znika anilina, a na jej miejscu pozostaje rozanilina, która jednak i teraz jeszcze jest bezbarwna i dopiero przez połączenie z różnymi kwasami i solami daje przeróżne piękne barwniki, czerwone, błękitne, fioletowe, zielone. Wszystkie te farby, otrzymane z aniliny, mają tę własność, że drobne ziarnko może zabarwić ogromną ilość wody, wystarczającą do ufarbowania kilku sztuk tkaniny. A trzeba wiedzieć, że nie tylko anilina, lecz i wiele innych wytworów smoły węglowej daje różne piękne farby, za pomocą takich przemian chemicznych, to jest przez dodawanie lub ujmowanie cząsteczek węgla, wodoru, tlenu, lub azotu.

— O, dziękuję ci, mój dobry Władziu — mówiła Józia — teraz już doprawdy rozumiałam doskonale tę twoją chemię, i już wiem, jak się robią te przesliczne farby, to jest wiem przynajmniej tyle, że się nie będę dziwiła, jak kto przy mnie powie, że je można wydobyć z takiej czarnej, brzydkiej rzeczy, jak smoła.

— A jednak nie powiedziałem ci jeszcze najciekawszej rzeczy. Czy słyszałaś kiedy o marzannie farbiarskiej? jest to roślina, której korzeń daje bardzo piękną i trwałą farbę karmazynową. We Francji zasadzano całe pola marzanną, a farba z niej otrzymywana wielki miała odbyt, gdyż służyła do farbowania sukna karmazynowego na spodnie dla francuzkich żołnierzy. Otóż chemicy zaczęli nad tym przemyśliwać, czy nie udałoby się taką samą farbę zrobić z czego innego, bo anilino-we są nieco odmienne. I wyobraź sobie, że udało

im się wyciągnąć taką samą farbę, bez najmniejszej różnicy, z antracenu, który jest jednym z owych licznych wytworów smoły węglowej. Teraz więc już marzanny zasiewać nie potrzeba, bo alizaryn, tak się nazywa ta roślinna farba, robi się w fabrykach, tak samo jak anilina, fuksyna itd.

— Ale mój Władziu — uważała Józia — jakże to można z taką pewnością powiedzieć, że to jest zupełnie taż sama farba? a może ona tylko bardzo podobna do korzenia marzanny, bo trudno przecież uwierzyć, ażeby ze smoły można było wydobyć toż samo, co z takiej żyjącej rośliny.

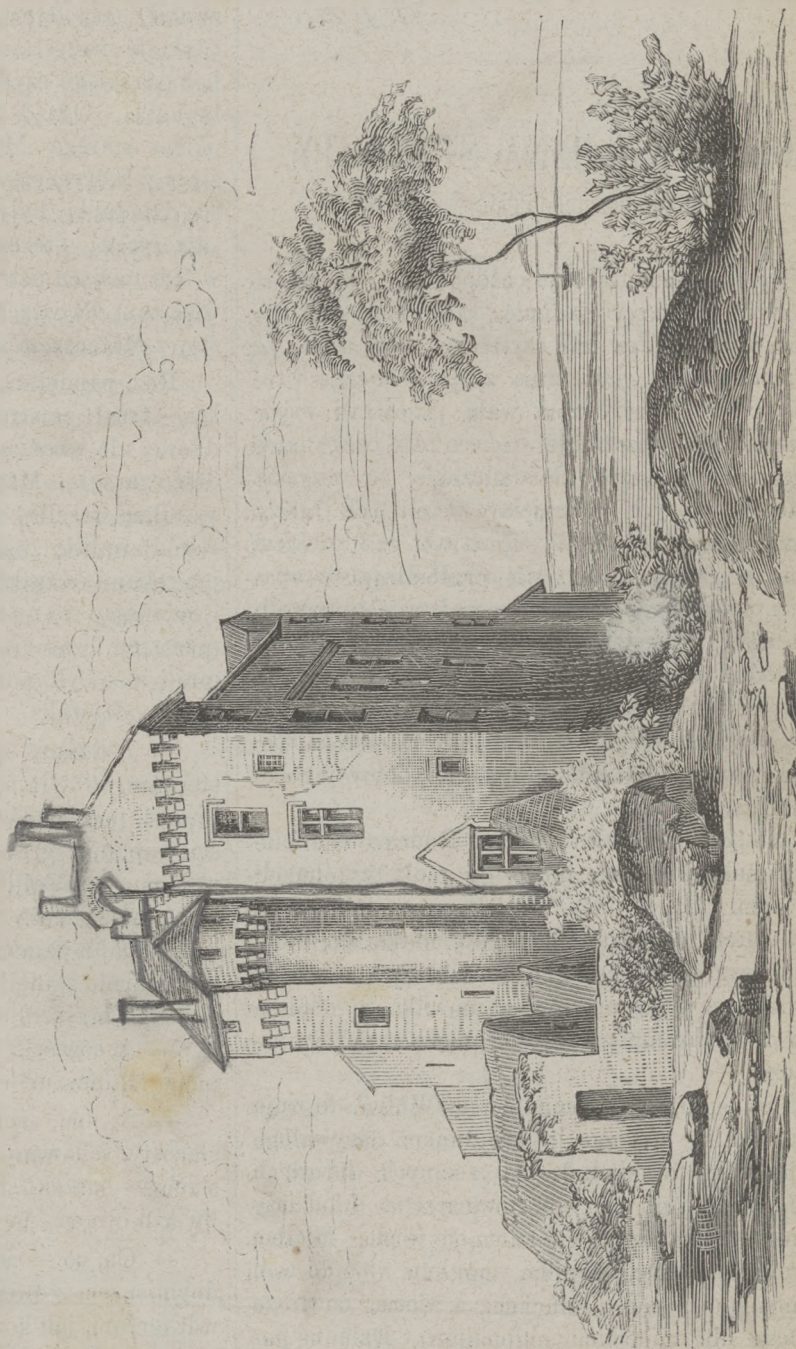
— Dla tego też właśnie powiedziałem, że to jest rzecz bardzo ciekawa i zadziwiająca. Pomyśl tylko, jaka to sztuka wyciągnąć z ciała mineralnego, nie podobnego wcale do żadnej rośliny, taką samą substancją, jaka się w korzeniu tej rośliny tworzy przy wyrastaniu. Pytasz się, jak to można twierdzić z taką pewnością, że ten sztuczny alizaryn niczem się od roślinnego nie różni. Ale dla chemika to rzecz bardzo łatwa, on potrafi każde ciało tak rozłożyć, że wie z największą pewnością, ile w nim jest węgla, ile wodoru, tlenu, lub innych pierwiastków. Raz więc różne robiąc doświadczenia, chemicy otrzymali antracen z roślinnego alizarynu, odejmując tlen, który zawiera w sobie obok węgla i wodoru. Wszak pamiętasz, co to jest antracen?

— Wiem, wiem, to jeden z tych wytworów smołowych, jak ty je nazywasz.

— Otóż widzisz, gdy alizaryn utracił tlen, zamienił się w bryłkę węglowodoru, niczem nie różniącą się od antracenu; rzecz prosta, że po dodaniu do tego węglowodoru tej samej ilości tlenu, znowu się z niego zrobił ten sam alizaryn. Chemicy, nie w ciemie bici, sprobowali, czy antracen smołowy nie da się tak samo przemienić i udało się im wybornie.

— Dodali do niego troszkę tlenu, nieprawdaż? o, to wszystko taka łatwa sprawa.

— Nie myśl, siostrzyczko, żeby to wszystko tak łatwo szło chemikom, jak nam opowiadanie. Ale czegoż nie dokaże wytrwałość i cierpliwość. Teraz już drugą farbę roślinną zrobili z mineralnych



Wzór do rysunku.

substancij sztucznym sposobem, tę piękną szafirową farbę, zwaną indygo. Słyszałaś zapewne, że ją wyrabiają z indygowca, który tylko w cieplejszych krajach rośnie. Zapewne niezadługo przestaną sprowadzać indygo z za morza, bo je w fabrykach europejskich wyrabiać będą.

— Dziękuję ci bardzo, mój drogi Władziu —

rzekła dziewczynka, ściskając brata -- tylu mię ciekawych rzeczy nauczyłeś. Chciałabym jaknaj- częściej słuchać takiego opowiadania.

— I owszem, siostrzyczko, jak tylko mi czas pozwoli, chętnie ci będę opowiadał o różnych nau- kowych przedmiotach, ale na dziś już dosyć.

M. J. Z.

BOGACTWA PANA STAROSTY.

Opowiadanie z niedalekiej przeszłości.

Byłem jeszcze młodym chłopakiem, gdy mi się zdarzyło słyszeć opowiadanie, które wam dziś po- wtórzyć zamierzam, mili czytelnicy, w nadziei, że i was tak zajmie, jak mnie zajęło wówczas i ró- wnie trwale i pożyteczne, wam pozostawi wspom- nienie. Wy jeszcze nie wiecie o tém, czego mnie długoletnie nauczyło doświadczenie, że wszystkie wrażenia, których doznajemy w młodych latach, są najtrwalsze; zdawałoby się nawet, że z wiekiem coraz wyraźniej, caraz żywiej przebudzają się w pa- mięci, podczas gdy późniejsze zacierają się powoli. Ztąd nawet powstało przysłowie: czém skorupka za młodu nasiąknie, tém na starość trąci. Nie dziwcież się rodzicom, że was tak starannie ochra- niają od złych wpływów, a usiłują wszelkiemi spo- sobami wszczepiać jaknajwcześniej dobre przekonania i zwyczaje.

Alę powracam do rzeczy. Rodzice moi mie- szkali stale w Wilnie, gdzie i ja nauki szkolne od- bywałem. Ojciec mój był lekarzem, trudno mu było latem z miasta się oddalić, matka nie lubiła odstępować gospodarskich swoich zajęć, ale mnie na wakacje wysyłało zawsze na kilka tygodni na wieś, dla nabrania sił i zaczerpnięcia świeżego po- wietrza.

Pewnego roku wyjechałem na Wołyń, do wuja mojej matki, którego ja dziaduniem nazywałem.

Rodzina ta składała się z samych dorosłych osób, brakło mi więc tam towarzystwa młodzieży mojego wieku, ale nie nudziłem się wcale. Miałem na rozkazy ładnego konika, mogłem więc do woli uganiać po lasach i kniejach, a wiecie, co to za rozkosz dla miejskich chłopaków. Dziaduś po- zwalał mi także swojej strzelby i parę razy udało mi się zastrzelić jakieś biedne ptasze, które z wiel- kim tryumfem przynosiłem babci, jako zwierzynę. Zaraz też przywoływałem kucharza, ale ten zawsze kręcił głową, mówiąc, że to zwierzyna dobra dla kotów, a nie dla ludzi i żał mi potem było tych niewinnych stworzeń, którym darmo, bez żadnego pożytku, odebrałem życie.

Raz znów ten sam kucharz namówił mię, aże- bym strzelił do kapłona, przeznaczonego na ko- lacyą, który przechadzał się poważnie po dzie- dzińcu folwarcznym, nie przewidując smutnego swego losu. Usłuchałem tej ponętnej rady, wypa- liłem, położyłem kapłona na miejscu, ale strzał zwabił gospodynią i kilka dziewcząt folwarcznych i tak się wszystkie serdecznie uśmieły z mojego bohaterskiego czynu, że zaniechałem zupełnie po- lowania. Odtąd strzelałem tylko do celu pod okiem starego Mateusza, dawnego i zaufanego sługi, z którym się wkrótce zaprzyjaźniłem. W wio- sce dziadunia były zwałiska jakiegoś odwiecznego zamczyska, sterczące na wzgórzu, a ponieważ w tém miejscu ustronném rzadko kto przechodził, więc tam dla wszelkiego bezpieczeństwa urządzili- śmy z Mateuszem naszą strzelnicę.

Raz, pamiętam, udawało mi się lepiej niż zwy- kle, strzał za strzałem padał w samo kółko śro- dkowe, ale wkońcu zmęczyłem się trochę i ręka mi drżeć zaczęła. Mateusz kazał odłożyć, więc prze- wiesiłem strzelbę przez plecy i przechadzałem się wśród zwałisk, zaglądając w każdą szparę, próbując rękami szczątki murów, czy się mocno trzymają i wspinając się na stopy kamieni. Mateusz siedział przez ten czas na wielkim głazie i spoglądał na mnie, a że był gaduła, więc co chwila z jakąś uwa- gą się odzywał:

— Ten mur, z tą szczerbą, gdzie panicz nogę stawiasz, to była ściana główna zamkowej kaplicy. Tam są pod spodem ogromne podziemia, ale wej- ście zupełnie gruzami zasypaane, bo ogromny ka- wał muru zawalił się z tej strony. Rychtyk tej samej nocy, może na godzinę wcześniej, wychodzi- liśmy obaj z panem z tych lochów. Oj, bylibyśmy tam marnie zginęli, bo z pewnością nikomuby i na myśl nie przyszło szukać nas w tej norze.

— A cóżeście wy tam porabiali z dziaduniem, panie-Mateuszu? — spytałem zaciekawiony.

— A, ba, szukaliśmy sławnych bogactw pana starosty, schowanych tam w czasie napadów tatar- skich — odrzekł staruszek tak obojętnie, jak gdy- by szło o rzecz najzwyczajniejszą w świecie.

— Co, co — zawołałem żywo, zeskakując je- dnym susem z owego odłamku muru, na który się wdrapałem, jak kozieł — więc tam są jakieś skarby w tych podziemiach i możnaby je odszukać?

— A tóż my przecież z panem odszukaliśmy je właśnie owiej nocy — wycedził Mateusz przez zęby, a przytém uśmiechał się jakoś tajemniczo, spoglą- dając na mnie. — A to panicz widzę nic o tém nie słyszał.

— Nic a nic, mój drogi panie Mateuszu. Więc dziadunio naprawdę znalazł tam skarby, wielkie

hogactwa? I cóż to było takiego, złoto, czy klejnoty i drogie kamienie?

— Ba! co to było — pisał Mateusz, kiwając głową i ciągle z tym dziwnym, dwuznacznym uśmiechem — co to było. Ogromna skrzynia, a tak ciężka, żeśmy ją z panem ledwo we dwóch dźwignęli. Powiadam paniczowi, nim donieśliśmy do dworu, mnie aż coś w krzyżu strzyknęło, a pan ze trzy dni nie mógł się rozprostować; obaj jednak wówczas byliśmy młodzi i silni, boć to już od tej pory minęło z pięćdziesiąt lat z okładem.

— Ale cóż tam było w tej ciężkiej skrzyni? — pytałem natarczywie, przysiadając się obok Mateusza — dziwna rzecz doprawdy, że dziadus nigdy o tem nie wspominał.

— A, bo to wielki sekret — rzekł staruszek, przybierając znów minę tajemniczą — nigdyśmy o tem przed nikim nie mówili; ale panicz taki blizki krewny naszego pana, to już ja paniczowi to wszystko w zaufaniu opowiem.

Możecie sobie wyobrazić, z jak natężoną uwagą słuchałem opowiadania starego Mateusza, który rozpoczął w te słowa:

— Dawno to już temu, bardzo dawno, miałem wtenczas nie więcej jak dwadzieścia dwa lata, a pan był o parę lat młodszy odemnie i pewnie jeszcze dwudziestu nie skończył, gdy zmarł nagle nieboszczyk pan starszy i młodziutki dziedzic przyjechał ze szkół, z jakichś stron bardzo dalekich, by objąć majątek w posiadanie. A trzeba wiedzieć, że to stare zamczysko już od niepamiętnych czasów stoi ot takie rozwalone i nawet najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby w niem kto mieszkał. Chodziły tylko pogłoski między ludźmi, że pan starosta, bardzo mądry i bogaty pan, jakiś prapradziadek dzisiejszego dziedzica, wybierając się na wojnę z Tatarami, zakopał gdzieś w podziemiach zamkowych swoje bogactwa. A że z tej wojny już nie powrócił, bo go poganie zamordowali tam na kresach, więc nikt nie wiedział, gdzie te skarby były ukryte. Opowiadano we dworze, że pan starosta miał ogromną skrzynię żelazem okutą, która zawsze stała w jego sypialni; odjeżdżając na wojnę kazał ją odnieść do owych podziemi. Stary kredencarz słyszał to od swojej babki, a tej znów opowiadał jej dziadek, który był zaufanym sługą pana starosty. Ale kto skrzynię odnosił, gdzie ją ustawiono, o tem jakoś od nikogo nie było można się dowiedzieć.

Wszyscy panowie, jeden po drugim, przetrząsali lochy, oglądali każdy kącik, podnosili ciężkie kamienie grobowe, grzebali w ziemi, wyjmowali glazy ogromne ze ścian, wszystko napróżno — nikt nigdy nie znalazł najmniejszego śladu owego skarbu.

A tu nastały ciężkie czasy, dwór zaczynał już także się walić, tak samo, jak zamczysko, i nie było go za co poprawić, bo panom jakoś nie wiodło się gospodarstwo. Jednego roku grad wybił, drugiego pożar pochłonął zbiory, to znów zaraza padła na bydło i kiedy młody pan, dzisiejszy dziadunio panicza, przyszedł do ojcowizny, w kasie nie zastał ani grosza, a tu na wszystkie strony trzeba było wydawać, bo wszędzie czegoś brakło. Oj ciężkoż to było, ciężko, a jeszcze młody pan nie miał się kogo i zaradzić, bo to ani krewnych, ani sąsiadów życzliwych, ot tak bywało z biedy przed sługami wiernymi musiał się zalić.

Mnie jakoś odrazu polubił więcej od innych, może dla tego, że i ja do pana wielkie miałem przywiązanie. Więc tedy dnia pewnego powiada pan do mnie:

— Wiesz ty co, Mateuszu, już żebym miał w tych lochach każdy kamyczek wyjąć i wszystko zburzyć do szczętu, muszę koniecznie ten skarb pradziadowski odszukać. Jutro zbierzemy silniejszych ludzi i weźmiemy się do roboty.

A ja na to: — Co tam, proszę pana, mamy zaraz burzyć wszystko i rozrzucać, a całej gromadzie opowiadać, żeby się z nas wyśmiewali; ot lepiej my obaj z panem weźmiemy się do szukania tak, żeby nikt nie wiedział, bo to lepiej, jak się te bogactwa znajdą, schować je dobrze i nikomu nie pokazywać. Jak tylko się ludzie dowiedzą, że pan ma wielkie pieniądze, zaraz tu się zlecą i bliżsi i dalsi, a pan jeszcze młody, niedoświadczony, będą pana szarpać wszyscy, obdzierać i żeby tam jaki skarb, to nie starczy.

— Dobrze mówisz, mój Mateuszu — powiada pan — teraz to nikt o mnie nie dba, nikt mi nie poradzi, ale jak będę miał wielkie bogactwa, to pewnie się znajdzie wielu przyjaciół, co zechcą z nich korzystać, a ja właśnie od takiej fałszywej przyjaźni radbym się uchronić. Dobrze mówisz, szukajmy we dwóch.

Jak się rzekło, tak się stało. Bywało co wieczór prawie, gdy już wszyscy w domu pozasypiają, my we dwóch z panem, z latarkami w rękę, cichaczem skradaliśmy się do zamczyska i tam nieraz do białego dnia szperaliśmy zawzięcie w każdym kąciku. Rozumie się, że pan, namęczywszy się tak przez całą noc, musiał potem w dzień odsypiać swoje, a ja, nie mogąc sobie tak pozwalać, chodziłem ciągle zaspany i rozleńnięty okropnie. Stary kredencarz musiał na mnie gderać bez ustanku, raz nawet poszedł ze skargami do pana i wręcz się ciągle odzywał, że takiego nicponia, darmozjada, nie warto trzymać we dworze. Pan jednak bronił mię przed wszystkimi, a wkońcu kazał mi sypiać

przy sobie w pierwszym pokoju, gdzie nikt nie śmiał mi z rana wyciągać z pościeli.

Tymczasem gospodarstwo we dworze i w całym majątku szło coraz gorzej, a pan coraz więcej wzdychał za tym skarbem, który to wszystko miał naprawić. Służba bez dozoru opuściła się gorzej jeszcze odemnie, bo ja przynajmniej po nocy gorliwie pracowałem; na wydatki potrzeba było pieniędzy, więc usłudzy lichwiarze podwozili panu gotówkę, a za to potem za bezcen zabierali zbiory; pan brnął w długi i ciągle się tęp pocieszał, że jak tylko ten bogaty skarb znajdzie, to wszystko odrazu pójdzie inaczej.

A tu mijały tygodnie, miesiące, minął wreszcie rok jeden i drugi, a skarbu jak niema, tak niema. Czasem bywało uprzykrzyło się panu, nadzieja go opuszczała i przez jaki tydzień, albo i miesiąc, przedstawialiśmy płądować po lochach. Ale potem znów, jakby gorączka jaka go porywała, tłukliśmy się jak mary w zimnych i wilgotnych podziemiach. Ja pana tak kochałem, że chociaż przestałem już zupełnie w te skarby wierzyć, jednak nie zniechęcałem go wcale i dopomagałem mu zawsze z tą samą gorliwością, bo myślałem sobie: Tyle to on ma w swoim frasunku pociechy; majątek prędko pójdzie na lichwy, niechże się biedne państwo tymczasem pobawi przynajmniej szukaniem i wypatrywaniem tych skarbów niebywałych.

Pewnej nocy, we Wrześniu, jak dziś pamiętam, księżyc był w pełni, pogoda prześliczna, my z panem zwyczajem swoim wyruszyliśmy do zamczyska, a jakoś nam tak szczęśliwie się udało, że nikt nas nigdy nie podpatrzył i nie wiedziano nic ani we dworze, ani we wsi o naszych wycieczkach, bo byłoby z tego plotek bez końca, a pewnie i śmiechu nie mało. Przyszedszy na miejsce, spuściliśmy się w podziemie, wejście tu wtenczas było wygodne i obszerne z tej strony, i wschody w dobrym stanie. Jak nietoperze tłukliśmy się po lochu z motykami w rękę, przy świetle latarni; obu nam się wydało, że w jednym murze zrobiła się nowa szpara, jak gdyby go coś poruszyło. Więc my dalejże szukać i tłuc w tęp miejscu, kamienie poczęły się chwiać, myśmy je wyjmowali jeden po drugim, a pan, jakby go jakiś szal ogarnął, pracował bez wytchnienia, widocznie nawet nie myślał o tęp, co robił, tylko układał kamienie w stos ogromny.

A wtęp usłyszeliśmy nagle nad głowami naszymi huk głuchy, niby oddalonego grzmotu, i mur, któryśmy tak niestrożnie rozbierać zaczęli, zatrząsł się i runął z łoskotem strasliwym tuż przed nami. Ledwo zdążyliśmy na bok uskoczyć, ja zląkłem się okropnie, nogi się podemną ugięły i padłem na kolana, bełkocąc półgłosem pacierze. Ale pan przeżegnał się tylko i śmiało, jakby nic

nie było, podniósł z ziemi latarkę, która cudem jakimś ocalała i zaczął się rozglądać na wszystkie strony. Mnie po chwili wstyd się zrobiło mego tchórzostwa, wstałem więc i także roztwierałem oczy, chociaż nie wiele dojrzyć mogłem, bo wszystko się jakoś dziwnie mieniło przedemną i drżałem na całym ciele, aż tu nagle usłyszałem krzyk pana:

— Skarb! Mateuszu, Bóg się zlitował nademną, widzę ogromną skrzynię okutą, to bogactwa pana starosty!

Na te słowa strach mię odstąpił w jednej chwili, wlepiłem oczy w tę stronę, którą pan wskazywał, i w rzeczy samęj w głębokiej rozpadlinie muru, wśród stosów zwalisk i gruzów, spostrzegłem wielką, staroświecką, żelazem okutą skrzynię; rychtyk o takiej rozpowiadali ludzie, którzy o skarbach pana starosty wiedzieli.

Widok ten mnie i panu dodał sił nowych, rzuciliśmy się do rozgartywania gruzów, do odsuwania ciężkich kamieni, które drogę zawałyły, aż wkońcu pochwyciliśmy za grube, zardzewiałe ucha skrzyni. Oj, ciężka była, ciężka, ledwieśmy ją z miejsca ruszyli, ale myśmy się o to nie gniewali, gdyby jeszcze dwa razy była cięższa, byłibyśmy ją dźwigali z ochotą. Na wschodach trzeba było kilka razy odpoczywać, w końcu wydostaliśmy się na świat boży, świeże powietrze nas orzeźwiło, a po równiej drodze łatwiej nam daleko poszło. Pan za nic nie chciał się rozstać ze swoim skarbem, do dnia jeszcze było daleko, niedawno pierwszy kur zapiał, mogliśmy więc bezpiecznie odnieść nasz ciężar do dworu, żywej duszy nie spotkaliśmy po drodze.

Nie uszlśmy i połowy drogi, gdy znów usłyszeliśmy poza sobą huk jeszcze silniejszy niż przedtęp i łoskot walących się murów. Nazajutrz dopiero dowiedzieliśmy się, że cała ściana boczna się obaliła i zatarasowała wejście do lochów, oto tam, gdzie panicz stałeś przed chwilą.

[ZAJĘSKA]

(D. n.).

ROZMAITOŚCI.

Przed kilku miesiącami, na jednym z dworców kolei w Paryżu, panował ruch niezwykły, mnóstwo ludzi rozmaitego stanu i wieku tłoczyło się w salonnach, w przedsionkach, na platformie, nie mało tam było wszędzie młodzieży szkolnej, zewsząd odzywały się pytania, wykrzykniki:

— Czy tylko nas zaraz do nich dopuszczają?

— Ciekawa rzecz, jak też im służy nasz klimat?

Za chwilę miał przybyć pociąg z Tulonu, wyglądało go niecierpliwie, a gdy się ozwał gwizd lokomotywy, wszystko co żyło biegle powitać oso-

bliwych gości, przybyszów z dalekich, zamorskich krajów. Tłumy nie mogły się im dość napatrzeć na dworcu, tysiące ludzi odprowadziło ich przez ulice miasta, aż do gmachu uniwersytetu, gdzie nareszcie drzwi się za nimi zamknęły.

I wy zapewne, czytelnicy, ciekawi jesteście, kto to byli ci zamorscy goście, którzy takie zajęcie budzili w mieszkańcach Paryża, nawykłych przecież do różnych osobliwych widoków. To były... krokodyle! ogromne, żyjące krokodyle, sprowadzone z dalekich zwrotnikowych krajów przez uczonych francuzkich, którzy zamierzają na nich robić rozmaite doświadczenia naukowe.

Wszak wiecie, że płazy całym ustrojem swoim znacznie się różnią od zwierząt ssących, a najpierw mają krew zimną i krążenie tej krwi odmiennie się musi odbywać w ich ciele. W klimacie naszym żyją tylko drobne płazy, żaby, jaszczurki, więc uczeni europejscy nie mają sposobności poznać dokładniej natury tych zwierząt i własności takiej zimnej krwi. Zakupienie większych płazów zamorskich, trzymanyh w menażeryach i ogrodach zoologicznych, jest nadzwyczaj kosztowne. Otoż niedawno pewien bogaty Francuz, zamieszkały w Sajgunie w Indochinach, podarował paryzkim przyrodnikom, profesorom uniwersytetu, dziesięć olbrzymich krokodylów, które rząd swoim kosztem sprowadził w ogromnych żelaznych klatkach. Teraz te krokodyle umieszczone są w ogrodzie zoologicznym, gdzie mają wszelkie wygody, a profesowie zabierają je kiedyniekiedy do swojej pracowni i różnym poddają badaniom.

Możecie sobie wyobrazić, jaka to musi być trudna rzecz i niebezpieczna takiego ogromnego i silnego krokodyla pochwyć w sadzawce, przenieść i uwiązać na stole tak, żeby nie mógł ani ogonem poruszyć, ani paszczą nikogo dosięgnąć. Chcąc na przykład wymierzyć dokładnie, jaką siłę ma taki zwierz w potwornej swjej paszczy, uwiązano mu dolną szczękę do stołu, a górną do sznura, przytwierdzonego u belki na suficie. U zwierząt ssących, jak wiecie, szczeka górna, szczelnie do czaszki przystająca, jest nieruchoma, dolna tylko porusza się i uderza o nią, jak młot o kowadło, ale u płazów obie szczęki są ruchome, dla tego to krokodyl, waż dusiciel i inne podobne pówtory, z taką łatwością mogą przełykać najogromniejsze kawały pokarmu, gdy obie szczęki roztworzą i gardziel z obu stron odsłonią. Krokodyl podrażniony z całej siły pociąga sznur, a na tym sznurze jest przytwierdzony przyrząd, najdokładniej oznaczający siłę, która nań działa. Odmierzono więc tym sposobem, że krokodyl w swojej paszczy ma daleko więcej siły od zwierząt czworonożnych.

Jakże wielkie zamiłowanie nauki mieć muszą

ci ludzie, którzy chcą mieć do czynienia z tak strasznym i obrzydliwym zwierzęciem, narażają się na niebezpieczeństwo i wstręt przezwyjęzając, jedynie dla nabycia nowych wiadomości.

Rozwiązanie zagadki historycznej z Nru 50-go.

(Nadesłane przez Marynię P. z Chwoszczówki na Wołyniu i uznane za najlepsze przez Redakcyę, która przysądziła za nie nagrodę: *Obrazki dziejowe przez Teresę Jadwigę*).

Stanisław Leszczyński urodził się we Lwowie 1677 roku. Pochodził on ze znakomitej rodziny wielkopolskiej, którą historycy wywodzą od Czecha, Dobiesława Persztejna, przybyłego z Dąbrówką do Polski; potomkowie jego założywszy miasto Leszno, nazwisko swe od niego przybrali. Ród ten zawsze odznaczał się nauką i wydał wielu wysokich dostojników.

Ojcem Stanisława był Rafał, wojewoda Łęczycki, a matka Anna Jabłonowska, córka wielkiego hetmana koronnego. Sam wykształcony zagranicą i uchodzący za uczonego męża, Rafał Leszczyński podobnie syna swego usposobił; młody Stanisław w siedemnastym roku życia znał dobrze języki obce, przykładął się do nauk różnych i sztuk pięknych, pisał po polsku wierszem i prozą, a wymowa jego zwróciła nawet na sejmie uwagę króla Jana III. Chcąc głębiej zbadać stan oświaty u sąsiednich narodów, wybrał się młody Leszczyński najprzód do Wiednia, potem do Włoch i Francji, gdzie go wszędzie najmiliej witano, jako spokrewnionego z wielkim królem Janem Sobieskim, który niedawno tak się wślawił obroną Wiednia.

Za powrotem swoim, dwudziestoletni Stanisław, starosta Odolanowski, marszałkował w Środzie na sejmiku, poprzedzającym sejm elekcyjny w 1697 roku po śmierci króla Jana, a przybywszy jako poseł do Warszawy, został przez królewicza Jakóba Sobieskiego poparty na kandydata do łaski marszałkowskiej; szlachetnie jednak odstąpił tego zaszczytu Kazimierzowi Bielińskiemu, obawiając się niezgód, mogących wyniknąć z tego wyniesienia w tak młodym jeszcze wieku.

August II, zasiadłszy na polskim tronie, wdzięczny swoim stronnikom, nagradzał ich wspólnie. Leszczyńskich szczególnie obsypał dostojenstwami: Rafał z senatorskim krzesłem połączył generalstwo wielkopolskie i wielkie podskarbstwo, a syn jego został cześnikiem koronnym.

Nastały trudne czasy dla Augusta; zapragnąwszy własnym swym wojskiem saksońskim odebrać od Szwedów Inflanty, zagrabione za Jana

Kazimierza, wywołał długą i szkodliwą dla Polski wojnę z Karolem XII, który mszcząc się na nim, poprzysiągł, że go z tronu zrzuci. Jakoż wkroczył do Polski, rozsiewając przytém pogłoskę, że August czyha na swobody narodu i chce uczynić tron dziedzicznym.

Rzeczpospolita postanowiła nie mieszać się do wojny, wywołanej bez jej przyzwolenia i gdy król mimo powszechnego niezadowolenia nie zgadzał się na pokój, zawiązała się przeciw niemu konfederacya Warszawska w r. 1704. Wtenczas umarł Rafał Leszczyński, a król, pragnąc syna jego zniewolić ku sobie, wyniósł go na województwo poznańskie.

Musiał jednak młody wojewoda i do konfederacyi należeć, a ta go swym rotmistrzem obrała. Kiedy zaś August zniechęcił naród do reszty porwaniem dwóch Sobieskich, jako niebezpiecznych współzawodników, wysłano Stanisława w charakterze posła i pełnomocnika Rzeczypospolitej dla zawarcia układów z Karolem XII. Spytany o imiona Polaków przeciwnych królowi szwedzkiemu, Leszczyński odpowiedział: Jeżeli Najjaśniejszy Panie, uważasz to za zbrodnię, że obstawaliśmy przy naszym królu, to bardzo mało znajdziesz niewinnych i moje nazwisko powiększy liczbę winowajców; ale gdybyśmy inaczej postąpili, cóżby powiedziała Europa o naszym rozsądku w wyborze i o naszej w nim stałości?

Leszczyński, pomimo najlepszych chęci, nie zdołał skłonić zawziętego Szweda do pokoju, ścigał on dalej Augusta, który wkońcu uszedł do Drezna. Wtenczas Prymas Radziejowski ogłosił bezkrólewie, a zapytany przez Karola, kogoby po Sobieskich uznał najgodniejszym być królem, odpowiedział: że hetman koronny Lubomirski jest najpotężniejszy, Karol Radziwiłł, kanclerz litewski, najbogatszy, Pieniążek, wojewoda sieradzki, najmędrszy, a wojewoda poznański, Leszczyński, najcnotliwszy.

Karol już był go sobie upodobał, a ponieważ Jakób i Konstanty Sobiescy byli strzeżeni w Saksonii, a najmłodszy, Aleksander, odmówił tronu, więc ogłoszono królem Stanisława Leszczyńskiego. Powiadają, że gdy się o tём dowiedział, zawołał: „Cóż się stanie z naszą wolnością, jeżeli zostanę królem z woli Karola”? Są także poszlaki, że przyjął koronę, by ją zachować dla Jakóba. Karol sam pilnował koronacyi swego ulubieńca i żony jego, Katarzyny Opalińskiej, kasztelanki poznańskiej, niezważając nawet na to, że mu tymczasem Piotr Wielki zabierał Inflanty.

Część narodu, będąca za Sasem, zaprotestowała i straszliwsza jeszcze zawrzała wojna. Wkońcu król szwedzki zmusił Augusta do pokoju w Alt-

Ransztadzie i do uznania Leszczyńskiego królem. Ponieważ jedna Moskwa nie potwierdziła jego wyboru, więc postanowił i ją także zmusić do tego orężem, lecz poniósłszy straszną klęskę pod Połtawą, musiał się schronić do Benderu, spodziewając się pomocy od Turcyi; ale ta, wojując właśnie z Rosyją, nie mogła mu jej udzielić. Po porażce przyjaciela Leszczyński musiał się cofnąć do Pomeranii przed powracającym na tron Augustem, a rodzinę wyprawił do Poznania; w popłochu została młodsza córka jego Marya, odszukano ją w stajni, w żłobku, gdzie ją niania była złożyła.

Widząc Stanisław tak bardzo znękaną ojczyznę, udał się potajemnie do Benderu, chcąc skłonić Karola do pokoju z Augustem i ofiarując rzec się korony, lecz Karol odpowiedział, że nigdy tego nie uczyni i w razie odmowy Stanisława, postara się o innego. Turcyja, bojąc się knowań szwedzkich, rozdzieliła dwóch królów, zatrzymując ich pod strażą. Dopiero pokój z Rosyją oswobodził ich w 1714 roku. Król szwedzki odjechał do swego państwa palając zemstą, a Stanisławowi, niezgadżającemu się na powtórna wojnę z ojczyzną, oddał swoje dziedziczne księstwo Dwóch Mostów nad Renem z 70,000 talarów dochodu.

Zaledwie król Leszczyński zaczął używać chwil spokojnych, minister saski Fleming, uważając go za niebezpiecznego dla swego pana, namówił saskiego oficera Lacroix do porwania Stanisława, a w razie oporu i do zabicia nawet; przywiązanie mieszkańców ochroniło go od zdrazieckiego napadu, a zamiast karać winowajców, Leszczyński, nietylko darował im życie, ale opatrzył pieniędzmi na drogę.

W r. 1718 Karol XII zginął w wojnie z Norwegią, a Leszczyński, wyzuty z księstwa Dwóch Mostów, został znów w bardzo przykrém położeniu, gdyż dobra jego w Polsce były zabrane, przyjął więc opiekę Francyi i wybrał sobie miasto Weisenburg nad Renem na mieszkanie. Tam już największą jego pociechą było zajmowanie się kształceniem jedynej córki Maryi, gdyż starsza umarła w księstwie Dwóch mostów.

Wkrótce i tu zawiązał się spisek na jego życie, uknuty przez niemieckich awanturników, którzy chcieli mu podać tytoń zatruty; spisek spełził na niczém, ale wykrycie go przyczyniło wiele smutku Stanisławowi, który wszystkim tylko dobrze czynił. Polityczne widoki, a raczej Opatrzność, w którą tak ufał pobożny Leszczyński, skłoniły króla francuzkiego Lndwika XV do wybrania Maryi Leszczyńskiej za żonę. Stanisław z tego powodu przeniósł się do pałacu w Meudon i otrzymał 300,000 franków dochodu.

W 1733 r. po śmierci Augusta II wezwano Leszczyńskiego znowu na tron polski, a za przyby-

ciem jego do Warszawy okrzyknięto królem. Królewicz zaś August, popierany przez Niemcy i Rosyą, obrany też został przez przeciwnie stronnictwa; znowu więc wojna zawrzała w Polsce. Leszczyński schronił się do Gdańska, gdzie oczekiwał posiłków francuzkich; te jednak okazały się słabe, bo tylko 2,000 ludzi przybyło, a choć odznaczali się walecznością, nie mogli obronić obszczonego ze wszystkich stron Gdańska. Leszczyński uszedł do Królewca, przebrany za wieśniaka, wyznaczono bowiem cenę za jego głowę.

Francya tymczasem prowadziła na jego korzyść wojnę z cesarzem niemieckim i zmusiła go do pokoju w Wiedniu w 1735 r., przez który August III został uznany za króla polskiego, a Stanisław Leszczyński z tytułem króla otrzymał w dożywocie księstwo Lotaryngii i Baru, które po nim miało przejść do Francyi. Dobra jego rodzinne w Wielkopolsce zostały zakupione za 11 milionów przez Augusta, który oddał Leszno ulubieńcowi swemu Sułkowskiemu.

Rządy Stanisława Leszczyńskiego uwieczniły pamięć jego w Lotaryngii, którą podniósł do wysokiego stopnia dobrobytu i oświaty. Założył Izbę doradczą, gdzie bezpłatnie nawet można było zasięgać rad w interesach; szkołę dla ubogich pańienek; akademią imienia Stanisława, dotąd istniejącą; szkołę rycerską z fundacją dla dwunastu Polaków. Zakładał szkoły i szkółki, warsztaty, szpitale, śpichrze na czas głodu; budował piękne drogi i mosty, utrzymywał stada rasowe. Lud go uwielbiał inadał mu imię króla Dobroczyńnego.

Z jego to opieki wyszli: Józef i Andrzej Załuscy i Konarski. Użytył nawet Leszczyński przytułku synom Augusta III, który utraciwszy Saksonią w wojnie z Prusami, a niepewny korony, nie mógł znaleźć dla nich lepszego opiekuna, nad swego dawnego nieprzyjaciela, który ich życzliwie przyjął.

Przed powtórne swém obraniem wydał on bezimienną książkę „Uwagi nad rządem“, chcąc do upamiętania doprowadzić Polaków. Pisał listy i rady dla córki, która zawsze pozostanie wzorem dla wszystkich kobiet.

Mając lat 89 cieszył się jeszcze zdrowym umysłem i nic nie stracił na rzeźkości sił młodocianych, na słodyczy i uprzejmości. W r. 1766 spotkał go straszny wypadek. Gdy stał przy kominku, zapalił się róg jego szlafroka: chcąc ogień zagasić, upadł i lewą ręką trafił w rozżarzone węgle, przy czem się jeszcze w głowę zranił. Gdy nadbiegł kamerdyner, na którego był zaraz zadzwonił, zastał go w okropnych męczarniach.

Wieść o nieszczęściu rozeszła się szybko i lud zbiegł się zewsząd do Lunewilu, a gdy Leszczyński dowiedział się, że biedniejsi nie mieli gdzie się

podzielić i stali na chłodzie, kazał ich nakarmić i zaopatrzył na powrót.

Umarł w tydzień potem, 23 Lutego, przyjąwszy ostatnie Sakramenta z nadzwyczajną wiarą, jak to zawsze czynił, przystępując do stołu Pańskiego.

Smutek ludu był niezmierny i choć już sto lat od tego czasu minęło, w każdej jeszcze chatce lotaryngskiej można widzieć portret króla Stanisława i słyszeć imię jego ze czcią wymawiane.

(Bardzo dobre rozwiązania nadesłali prócz tego: Maryńcia M. z Jastrzębiniec. — Leopoldynka S. z Warszawy. — Różia D. z Berdyczowa. — Ma-sia H. z Warszawy. — Lińcia P. z Młoszowa. — Eliza Sk. z Pobórza. — Idalcia P. z Winnicy. — Maryla M. z Fedziakówki. — Marya N. z Sędzic. — Emil R. i Tadeusz Sz. z Warszawy. — Jan. P. z Nowo-Radomska. — Stanisław W. z Warszawy. — Stanisław T. z Krakowa).

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Sz a r a d y:

Mar — ce — li — na.

Łamigłównki kryształowej.

D
B E Z
W L O S Y
D E O T Y M A
M Ł Y N Y
E M S
A

Krzyż z podstawą (Heli i Jadwisi H.).

1)
:
(12 16)
:
:
(17 19)
20) (24
25) (31
11)

od 1) do 11) pseudonim jednego z terazniejszych powieściopisarzy polskich.

od 12) do 16). Wyspa na morzu Śródziemném pomiędzy Sycylią i brzegami Afryki.

od 17) do 19). Rzeka w Afryce.

od 20) do 24). Imię męzkie zdrobniałe.

od 25) do 31). Naczynie do wody.

Zagadka (Wł. N.).

Macie coś przymusowego; przeczytajcie z hebrajska, będziecie mieli rybę.

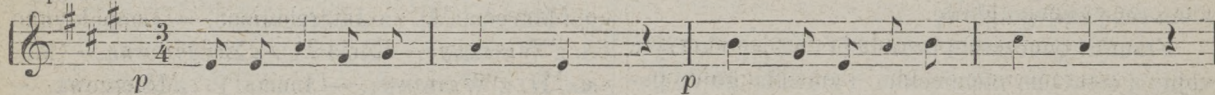
PIEŚŃ WIECZORNA.

MUZYKA

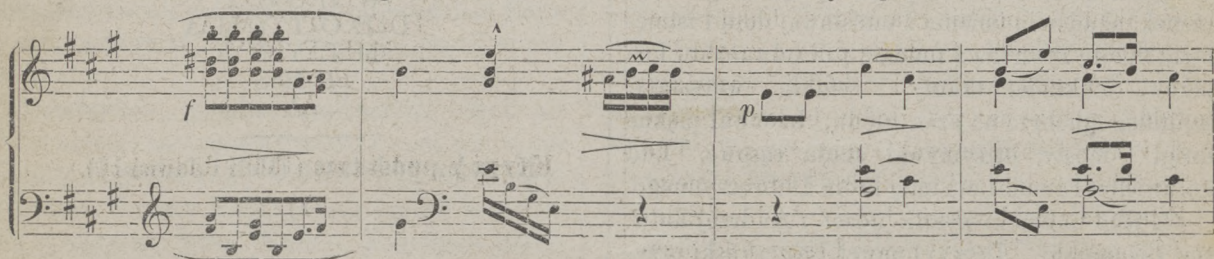
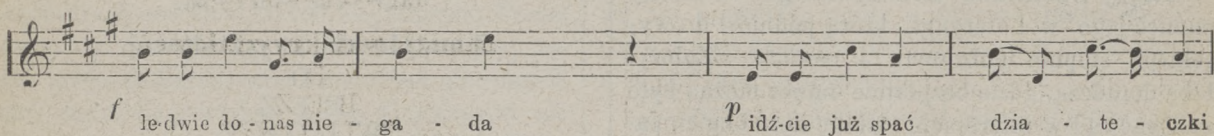
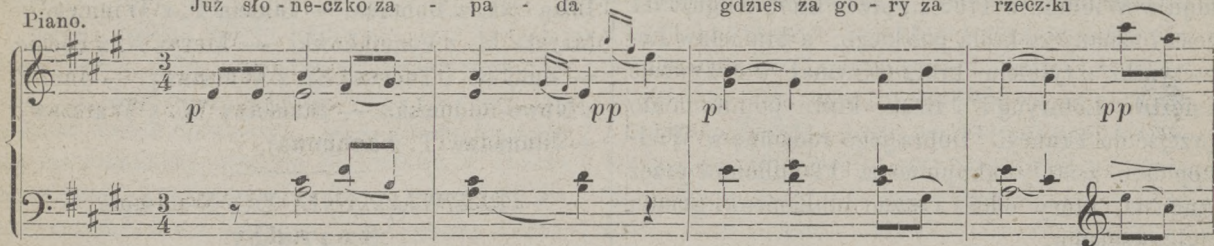
J. Czubskiego.

Słowa Stanisława Jachowicza.

Śpiew.



Piano.



Były skoki i śpiewy
 Była praca nauka,
 Kto odpocznie szczęśliwy
 I ptak gniazdka już szuka
 I ptak gniazdka już szuka.

Wieje wietrzyk chłodnawy,
 Nie zabrzęczy już muszka,
 Skończyły się zabawy,
 Dalej dzieci do łóżka
 Dalej dzieci do łóżka.